

Rozdział 57

- Trzech uderzeń? – powtórzył zdezorientowany Adam. To, że siedział w samolocie, bliżej kosmosu i dalej od lądu, nadawało słowom dziewczyny jakiegoś niepokojącego sensu. – Ale trzy tysiące lat? Kogo to obchodzi? Zanim nadejdą te wieki zderzeń, ludzkość sama się udusi, jeśli miłośnicy ciapati i naanu nie przestaną się mnożyć jak króliki.
- Nie mów tak o nas – upomniał go Radžendra.
- Masz sporo racji Adamie – Gauri nie czuła się urażona. Ziemianką była obecnie w równie nikłym stopniu co Hinduską. – To musi być pakiet wiązany. Kosmos i płodność, albo rezygnacja z istnienia i rezygnacja z mnożenia się.
- Kraje rozwinięte już zrezygnowały – uśmiechnął się Adam. – Japonia, Niemcy, nawet Włochy i Hiszpania, tak przecież pełne lowelasów.
- Nie uważasz, że możliwy jest po prostu umiar? – zapytał Gauri Radžendra.
- Umiar jest często piękną cnotą – zgodziła się z nim kosmitka. – Lecz ma też swoją cenę. U słabo rozwiniętych cywilizacji zabija chęć ekspansji i wzrostu, a są to motywacje bardzo wskazane na wczesnym etapie stawania się istotami myślącymi.
- Wczesne cywilizacje? – zdziwił się Adam. – Nie masz chyba na myśli Waszyngtonu, czy nawet Delhi.
- Czym, z perspektywy kosmicznej, różnicie się od Starożytnego Egiptu czy średniowiecznej Anglii? – Gauri uśmiechnęła się widząc inny samolot mijający ich daleko.



- No wszystkim – odparł zaszokowany Adam. – Mamy samochody, elektryczność, komputery i telefony komórkowe. Choćby to!
- Podobnie jak Cyceron czy Ryszard Lwie Serce możecie tylko patrzeć w nocne niebo i domyślać się, co tam tak naprawdę się dzieje, zwłaszcza jeśli chodzi o jego mieszkańców.
- Mieszkańców nocnego nieba? – dopytał się Radžendra. – A skąd w ogóle masz pewność, że nie jesteśmy jedyną inteligentną cywilizacją we wszechświecie – słowo „cywilizacją” Hindus specjalnie zaakcentował mocno i dobitnie.
- No i tu właśnie mamy problem – uśmiechnęła się kosmitka, zaś jej oczy błysnęły rojami gwiazd. – Mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej, czy odciętych terenów Amazonki też myśleli, że są jedynymi ludźmi, zaś świat to las lub morze z małą wyspą na środku niczego.
- Masz ciekawe szkła kontaktowe – wtrącił Adam. – Nigdy takich nie widziałem.
- Pamiątka z podróży – wyjaśniła Gauri. – Ale zostawmy moje oczy w spokoju i odpowiedzmy sobie na proste pytanie, które brzmi: czym się różnimy od poddanych Ryszarda Lwie Serce czy cesarza Augusta?
- Zaraz, zaraz – zaprotestował Radžendra. – Przecież latamy w kosmos. Nasze sondy badają nawet Plutona. Różne satelity obserwują kosmos wyrwane z ziemskiej atmosfery.
- Czyli Indianie z Amazonki patrzą zza krzaków na panoramę odległego miasta, bojąc się podejść na tyle blisko, aby dostrzec, że zębata linia na horyzoncie składa się z ludzkich domów – dopowiedziała dziewczyna.
- A niech cię! – zakrzyknął z entuzjazmem Adam. – Dobra jesteś. Potrafisz zagiąć człowieka i wepchnąć mu jego myśli z powrotem do mózgowicy. Ale nawet jeśli się z tobą zgodzę, co zresztą nie jest dla mnie trudne, gdyż za młodu oglądałem

Startreka podobnie jak wszyscy naukowcy świata, to co z tego, że się zgodzę? Gdyby latanie w kosmos było bezpieczne i w miarę tanie, już byśmy latali. Gdyby Mars nadawał się do zamieszkania bez kopuł czy podziemnych bunkrów, już mielibyśmy tam parę miast... Ale jest ciężko. Mars to niegościnna skała palona promieniowaniem kosmicznym i nie posiadająca zdatnej dla nas atmosfery. Podróż tam to wyzwanie, którego tak naprawdę nie ośmiela się realnie wesprzeć finansowo nawet rząd USA, cóż dopiero inne rządy. W demokracji wywalenie takich miliardów na odległe i przez wieki zupełnie niepraktyczne marzenie oznacza koniec władzy danego stronnictwa na długie dekady. W dyktaturze oznacza strajki i załamanie pozycji dyktatora.

– Tak naprawdę macie już załączkowe formy technologii potrzebnych do kolonizacji Marsa – uśmiechnęła się Gauri. – Trzeba tylko woli, aby zacząć działać.

– Jakie niby technologie – obruszył się Radžendra. – Chyba żartujesz.

– Przede wszystkim odkryliście... odkryty został mechanizm ewolucji naturalnej – wyjaśniła Gauri. – Wystarczy pomyśleć o tworzeniu sztucznych, samopowielających się nanostruktur. Odpowiednio zaprogramowane mogłyby na przykład kompensować brak magnetosfery na Marsie i pochłaniać promieniowanie kosmiczne w górnych warstwach atmosfery. Odpowiednio zmodyfikowane rośliny lub porosty mogłyby już teraz dokonywać zmian atmosfery Marsa. Ładunki nuklearne mogłyby stopić marsjańskie zmarzliny i zagęścić atmosferę, oraz uwolnić wodę.

– Zaraz, zaraz – zaprotestował Adam. – Wpierw musimy zbadać, czy na Marsie jest życie. Jeśli jest, nieetycznie byłoby zmieniać jego biosferę.

– Organizmy jednokomórkowe są dość powszechne w kosmosie... zapewne... – rzekła Gauri. – Nie są zbyt unikatowe, nie powinny zatem wstrzymywać kolonizacji. Jeśli na Marsie zostanie

odnalezione życie, należy uczynić dla niego rezerwy. Być może pod kopułami zachowującymi pierwotny skład atmosfery.

– A skąd wiesz, czy to życie nie rozkwitnie? – zagadnął ją Radziw. Hostessa przyniosła przekąskę i przez chwilę męczyli się z pancernym opakowaniem wegańskiego paszteciku w bułce. – Nasz planeta – kontynuował ciamkając pasztecikiem, – też była długo zamieszkana tylko przez jednokomórkowce. Z kosmosu widać było co najwyżej dziwne przebarwienia niektórych partii oceanów.

– To prawda – zgodziła się Gauri. – Jest całkiem możliwe, że za kilkaset milionów lat, kiedy Słońce będzie na tyle mocno emitować energię, że wypali ziemską atmosferę, Mars stanie się znacznie bardziej gościnny dla żywych organizmów. Może marsjańskie jednokomórkowce, o ile istnieją, wyewoluują w takich mądrałów jak my...

– No sama widzisz – poparł przyjaciela Adam, który nawet nie próbował jeść przekąski i zamówił coś innego.

– Pytanie, czy rozsądnie jest godzić się na powolną, albo i szybką zagładę, bowiem na pobliskiej planecie coś może wyewoluować za pół miliarda lat – drążyła dalej temat kosmitka. – Poza tym opuszczona, spalona Ziemia też może stać się kolebką dla jakiejś bardziej odmiennej od ludzkiej ewolucji. Choć liczyłabym na to, że za setki milionów lat ludzkość, jeśli będzie istniała, będzie umiała przenieść macierzystą planetę na inną orbitę.

– Był kiedyś taki chiński film, zupełnie absurdalny – zaśmiał się Adam z zadowolenie odbierając od stewardessy paczkę chipsów. – Grupa dzielnych bohaterów zmagająca się z jakąś awarią na powierzchni mroźnej i prawie pozbawionej atmosfery Ziemi. Pozostali ludzie kisili się w podziemnych bunkrach. Planetę niosły potężne silniki rakietowe wbite w jej powierzchnię z jednej strony.

– Cóż, pierwsze filmy o wyprawie na Księżyc, oparte zresztą

na Verne'm, pokazywały lot człowieka w pocisku wystrzelonym z gigantycznej armaty. Uwadze fantastów umknęła choćby kwestia zakresu odporności organizmu ludzkiego na przeciążenia – Gauri umilkła. Zaskoczyło ją, jak wiele jeszcze pamięta z Ziemi. Dla części jej wersji upłynęły przecież wieki. A miała w sobie także fragmenty wspomnień tych spojrzeń.

– No to jak inaczej przesunąć planetę? – Radziw wzruszył ramionami, po czym otarł chustką usta z okruchów.

– Można oczekiwać, że ludzkość, jeśli nie umrze we własnym kisielu, pozna lepiej naturę przestrzeni i grawitacji – stwierdziła tajemniczo Gauri. – Jeśli to wszystko ma mieć sens, takie odkrycia powinny nastąpić za wieki lub tysiąclecia, a nie za setki milionów lat.

– To niewyobrażalna bariera technologiczna – skrzywił się Adam.

– Z pewnością dla kogoś, czyja egzystencja sprowadza się do jednej skalistej planety, zaś możliwości energetyczne tylko do jej zasobów – zgodziła się Gauri. – Jeśli ludzkość zmadrzeje i zajmie się kolonizacją Marsa, każda nowa dekada będzie przynosić nowe miejsca do życia, a także do pozyskiwania złóż i energii. Nawet przy bardzo konwencjonalnym sposobie poruszania się w czasoprzestrzeni, ziemscy koloniści nawykną do planowania nowych kolonizacji w skali wieków, a nie najbliższych czterech lat, gdy rządzi ten, a nie inny prezydent wraz ze swoją ekipą.

– To czysta fantazja – Radziw rozłożył ręce zrezygowany. – Nikt nie wywali setek miliardów dolarów na powolną kolonizację Marsa tylko po to, aby za tysiąclecia Marsjanie pomyśleli o kolonizacji Wenus, a z kolei Wenusjanie zajęli się pierwszą planetą pozasłoneczną, do której jakoś tam zahibernowani koloniści lecieliby tysiące lat.

– Ta czysta fantazja jest na razie jedyną możliwą drogą – uśmiechnęła się kosmitka. – Po drodze, przez te wieki

planowania, okaże się, że niektóre problemy, które dziś wydają się nie do pokonania, można jednak pokonać. Ludzkość, której będzie się wydawać szaleństwem marnowanie pokaźnej części zasobów na kosmiczne marzenia, szybko stanie się dzięki tym snom na jawie zamożniejsza. Z kosmosem jest jak inwestycją. Trzeba coś dać, aby zarobić znacznie więcej.

– Podobasz mi się dziewczyno! – zakrzyknął Adam. – To znaczy, nie chcę cię podrywać, choć w ten sposób też mi się podobasz. Ale podoba mi się przede wszystkim twój szalony entuzjazm dotyczący rzeczy zupełnie odległych dla mentalności przeciętnego podatnika i żyjącego dzięki niemu polityka. To wszystko, o czym mówisz, nie może się udać. Ale, nie przeczę, chciałbym aby tak było. Gdybym był prezydentem USA, uczyniłbym cię wice, po czym przegrał reelekcję – wszyscy się zaśmiali. Na tyle głośno, że pobliscy pasażerowie spojrzeli na nich z zainteresowaniem. Gdy zorientowali się, że Hindusi i Amerykanin gadają o jakimś kosmosie, a nie o zabawnych scenach z seriali Netflixa, natychmiast pogrążyli się z powrotem w letargu.

– Nikt nie mówi, że będzie wam.. nam łątwo – Gauri z uznaniem pokiwała głowę. Adam też jej się spodobał. Miał w sobie jeszcze konstruktywne marzenia.

– Aby ludzkość ruszyła w kosmos, musi być jakieś Eldorado – stwierdził Radziw. – Musi być coś, co przyciągnie chciwość polityków i biznesmenów. Tymczasem kosmos kosztuje, a nie zarabia. Nie jest kurą znoszącą złote jajka. Jest złośliwą ciotką, na którą trzeba łożyć ogromny haracz. Haracz środków, pozycji politycznej, oburzenia lewicowych aktywistów zatroskanych o równość i środowisko.

– Zanim wsiadłam do samolotu, rozmawiałam z jednym takim aktywistą – przyznała Gauri.

– I co, zmienił zdanie? – zaciekawiał się Adam.

– Przecież wiecie, że to praktycznie niemożliwe – zauważyła

kosmitka. – Nawet jeśli aktywista w głębi serca przyzna wam rację, nie będzie mógł przecież odejść ze swego gangu.

– Raczej sekty – uśmiechnął się gorzko Adam. – A sekty najbardziej nienawidzą własnych heretyków... Wiem coś o tym. W czasach dzieci kwiatów byłem liderem hippisów, teraz zaś zmieniłem się o 180 stopni.

– Sądziłam, że hippisi są łagodni i nieco nieobecni – zdziwiła się Gauri.

– Przez dłuższy czas tak było – zgodził się z nią Adam. – Ale teraz, w drugiej dekadzie XXI wieku, silnie lewicowi działacze niejako mszczą się za zdradzonych hippisów. Mamy „pozytywną dyskryminację”, „poprawność polityczną” i oskarżenia o „zawłaszczenia kulturowe”. Nie sprzyja to wolnej wymianie myśli, ani równym szansom wszystkim studiujących i szukających pracy. Aktywiści chcą, aby każdy spłacał grzechy popełnione dekady czy wieki temu nawet nie przez jego przodków, ale przez jego rasę.

– To bez sensu – zdziwiła się Gauri. – Przecież byli czarni posiadacze niewolników, czarni łowcy niewolników i biali nędzarze. W czasach największego rozkwitu Imperium Brytyjskiego biali jak śnieg Irlandczycy konali z głodu. I co, teraz ich praprawnuki mają płacić swoim czarnym współobywatelom za swój kolor skóry? To zdumiewające. Widzę, że raczej USA nie będzie liderem przemian, o ile te nadejdą.

– Stawiałbym na Chiny – rzekł Radžendra. – Ale to państwo totalitarne, zabijające wolnomyślicieli. Z takim podejściem nie ruszą do odkrywania kosmosu.

– Różnie to bywa – zadumała się kosmitka, wspominając swoje podróże i różne co bardziej rozwinięte kosmicznie żywiele. – To znaczy sądzę, że różnie to bywa. Wydaje mi się, że jest niestety możliwy podbój kosmosu do pewnego stopnia przez okrutną, dyktatorską cywilizację. Z pewnością ma ona większe szanse, niż rozpadająca się od utopijnych ideologii

demokracja. Pytanie tylko, co mają z tych odkryć niewolnicy swojego fuhrera czy przewodniczącego partii? I czy działając w łańcuchach będą mieli śmiałość, aby odkryć naprawdę przełomowe technologie pozwalające rzeczywiście ruszyć w kosmos całą parą.

– O ile takie technologie istnieją – wtrącił Adam.

– O ile istnieją – zgodziła się podstępnie Gauri. – Oczywiście zawsze istnieje szansa, że totalitarna cywilizacja po pierwszym impulsie podboju kosmosu przeżyje przemianę i się zdemokratyzuje i stanie się bardziej pluralistyczna choćby dzięki odciętym, kosmicznym koloniom. Ale to tylko szansa...

– No tak – zgodził się Adam. – Państwo Aleksandra Wielkiego rozpadło się na poszczególne despotie, podobnie państwo Dżingis Chana.

– Historia, historia... – obruszył się Radžendra, który podobnie jak większość Hindusów, przyzwyczajonych do wiary w ciągły cykl zagład i odrodzeń świata uważał studiowanie dziejów za marnowanie czasu.

– Może i masz rację – zgodziła się z nim Gauri. – Będzie jak będzie. Rzeczywiście, wiele modeli zjawisk powtarza się stale, przybierając tylko nieco inne kształty.

– Ale spójrzcie, podchodzimy już na lotnisko! – przerwał im Adam.

– Zawsze się denerwuję w trakcie lądowania – wyznał Radžendra. – Musimy chyba przerwać tę naprawdę interesującą dyskusję.

Zamilkli zatem. Gauri wpatrzyła się w panoramę wielkiego Delhi. Uśmiechnęła się, poznając te same budowle, które wciąż dumnie wznosiły się w jej NZDelhi. Poza tym miasto było dość szare. Za dużo było w nim niedbałej architektury, było też trochę slumsów. Mimo to po policzku Gauri spłynęła łza.

Cieszyła się, że zobaczy ponownie swoje stare kąty. Na szczęście jej współpasażerowie w samolocie okazali się ciekawymi świata ludźmi, zatem Gauri miała dobry nastrój i ciepło zalało jej serce.